

Mówi Jadwiga Jankowska-Cieślak:

– Pani kariera filmowa to “trudny przypadek”.

– Nawet bardzo.

– Zaczynamy zatem od rzeczy aktualnej i przyjemnej, czyli nagrody w Gdyni za świetny występ w “Wezwaniu” Mirosława Dembińskiego.

– Przyjęłam ją jako miły, ogromnie zaskakujący prezent. Świadczy o tym, że nie zostałam całkiem wykreślona ze “spisu” filmowych aktorów.

– Wykreślona?

– Miałam powody, by tak myśleć. W tym roku podczas jubileuszowego 50. festiwalu w Cannes odbywał się zjazd laureatów, lecz nie pomyślano o tym, bym znalazła się w składzie polskiej delegacji. Zapewne w przekonaniu, że powinni o to zadbać Węgrzy, skoro grając w węgierskim filmie, zdobyłam nagrodę dla najlepszej aktorki. Ale co tam wojaże i gale. Gorsze było to, że w niektórych pismach filmowych wśród nazwisk polskich laureatów festiwalu, wymienianych z okazji jubileuszu, zabrakło mojego.

– Na szczęście nie dotyczy to “Filmu”... Dramat bohaterki “Wezwania” to niezwykła, kafkowska historia ułożona przez życie. Dla aktorki zadanie atrakcyjne, ale i niezwykle odpowiedzialne.

– Materia tej roli była bardzo delikatna. Starałam się ją zagrać z największą rzetelnością, prostymi, skromnymi środkami. Chodziło o dys-

kretnie oddanie wewnętrznej prawdy. Nie mogłam pozwolić sobie na wykorzystanie autentycznej historii dla popisów aktorskich. Zwłaszcza, że bohaterka prawdziwych wydarzeń być może siedziała przed telewizorem.

– Film przywołuje fakty, które potraktować można jako symbol niedawnych przecież czasów, kiedy komunistyczna władza była już zupełnie bezradna wobec rzeczywistości i rozpaczliwie korzystała z przemocy, kłamstwa i manipulacji. Przypadkową ofiarą cynizmu władzy stała się lekarka pogotowia, wobec której wysunięto absurdalne oskarżenie o napad, by uwiarygodnić tezę, iż za śmierć Grzegorza Przemyska odpowiadają pracownicy pogotowia, a nie milicjanci. Czy ten pozaartyistyczny aspekt “Wezwania” miał dla pani znaczenie?

– Był jednym z powodów, dla których zależało mi na powstaniu tego filmu. Zapanował

Jeśli są jakieś istotne przeszkody albo nie ma wyraźnego powodu, by zagrać rolę, trzeba powiedzieć: sorry, Winnetou

Nie na

w Polsce niezdrowy klimat sprzyjający rozcieńczeniu prawdy o nieodległych przecież latach, czy wręcz zacieraniu jej. Ostatnio przekonywało nas, że łatwiej budować kapitalizm bez balastu pamięci. Chętnych do tego jest aż nadto wielu, potrzebne są więc filmy takie jak “Wezwanie”. Obawiałam się tylko, że jako produkt telewizyjny nie zostanie zauważone.

– Gdyby spojrzeć na pani dokonania przez pryzmat nagród, to właściwie, nawet nie licząc tej ostatniej, osiągnęła pani wszystko, co było do osiągnięcia. Najpierw nagroda im. Zbyszka Cybulskiego, później główne nagrody w Gdyni i w Cannes. Kariera jak marzenie, można by powiedzieć.

– Tak, nagród ci u mnie dostatek, bo były jeszcze inne. Wnuki będą miały co oglądać. Tylko że kiedyś obowiązywała zasada, iż jak się “wejdzie w rozdzielnik”, to dostaje się wszystko po kolei. Gdy po “Trzeba zabić tę miłość” Kuby Morgensterna przyznano mi nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego, byłam niezmiernie szczęśliwa i dumna jak paw. Ale szuflada się otworzyła i zaczęła zapełniać. Zamieniłabym niektóre nagrody na dobre role.

– Otóż to. Z jednej strony są role, o których pisze się w książkach, z drugiej – zastanawiająco dużo chudych lat, talent wykorzystywany w minimalnym stopniu. Pani przykład przywoływany jest niemal jako symbol niespełnienia po wielkim sukcesie, czyli nagrodzie w Cannes za udział w “Innym spojrzeniu” Karoly Makka. Dlaczego tak się stało?

– Otworzyły się wówczas przede mną pewne szanse, ale z powodów życiowych nie mogłam ich wykorzystać. Pozostanie na Zachodzie nie wchodziło w grę, w Polsce trwał wówczas stan wojenny, musiałam wracać do rodziny, wychowywać dzieci. Wiem, że później przychodziły różne propozycje dla mnie na adres Filmu Polskiego, ale panie urzędniczki – pewno po to, by nie komplikować mi życia – wyrzucały je do kosza. A w polskim kinie brakowało i brakuje niebanalnych ról kobiecych. Dominują dekoracyj-



Fot. Marek Skorupski/Forum

ne, ozdabiające świat mężczyzn. Poza tym ta nagroda jakoś nie wszystkim się spodobała. Musiałam ją "odpokutować". Prawdę powiedziawszy, po ceremonii, gdy opadły emocje, pomyślałam sobie: no to teraz, kurczę, posiedzę. Istnieje bowiem fatalna prawidłowość dotycząca nagród w Cannes. Można jednak widzieć to inaczej. Rola w filmie Makka była przecież darem losu. Decyzja o zaangażowaniu mnie została podjęta w ostatniej chwili. I zdaje się, że zawdzięczam to asystentowi reżysera, który pewnie pod wpływem jakiegoś przypadkowego impulsu wskazał właśnie mnie.

– Samej sobie nie ma pani nic do zarzucenia w związku z przebiegiem kariery?

– Nie mogę mieć o nic żalu do siebie.

– Może nie potrafiła pani walczyć o karierę, o pozycję?

– Nigdy nie siedziałam z założonymi rękami, czekając na łaskawość losu. Starłam się inspi-

telko? Na scenie czuję, że samoistnie dzieje się ze mną coś, czego nie potrafię zatrzymać. Podobnie przed kamerą. Próbujemy, próbujemy, wychodzi to jakoś koślawo, lecz po okrzyku reżysera następuje we mnie przemiana. Urodziłam się po to, by uprawiać aktorstwo!

– W wypowiedziach publicznych bywa pani ostra, czasem ironiczna, wprost, bez złożeń wypowiada się pani o sobie i przedsięwzięciach, w których brała pani udział. O nieudanych rolach nie mówi pani, że "to było mimo wszystko cenne doświadczenie zawodowe". A np. o wysoko ocenionej roli Elektry w Teatrze Dramatycznym powiedziała pani, że "była ładna, kulawa". Nieczęsto zdarza się taka postawa...

– Wiem, łatwo uznać, że jest to swoista kokieteria, tyle że taka zabawa aktorce żadnych korzyści nie przynosi. Nigdy nie znosiłam asekuracji, manipulowania słowami, nie uni-

– To wymyślił Zygmunt Kałuziński. Jestem mu wdzięczna po dziś dzień, ale po przeczytaniu tego uśmiełam się zdrowo. Zadziwiona "metafizyką kina", tym, że coś tak skromnego i zwykłego w oczach niektórych nabrało nagle szczególnego znaczenia.

– Czy w życiu zawsze szukała pani autorytetów, na których można się oprzeć?

– W każdej dziedzinie, z jaką się zetknęłam, i w każdym środowisku. Pamiętam, że gdy jako młodziutka aktorka byłam przyjmowana do Teatru Dramatycznego, patrzyłam z przejęciem na Gustawa Holoubka, który był dla mnie nie tylko mistrzem w zawodzie.

– Co zawdzięcza pani latom spędzonym w tym dziś legendarnym teatrze?

– Spotkałam tam ludzi, którzy mnie ukształtowali. To stało się jakby mimowolnie, dzięki przebywaniu wśród nich, obserwowaniu i wspólnej pracy. Żadnych praktyk wycho-

każde wezwanie

rować różne przedsięwzięcia, ale nie potrafię beceremonialnie zabiegać o role.

– A nie sądzi pani, że zaszkodził wizerunek osoby unikającej rozgłosu, nie potrafiącej się kreować na zadowoloną z siebie artystkę?

– Być może, lecz to byłoby wbrew mojej naturze. Wybrałam ten zawód, by być aktorką na scenie lub przed kamerą, a nie odgrywać jakieś autoreklamowe role. Wiem, że to potrzebne, zwłaszcza dzisiaj, ale nie zmienię się przecież.

– A jako pedagog w szkole teatralnej jaką postawę zaleca pani swoim studentom?

– Oczywiście przekonuję, że trzeba iść ostro do przodu, bo tylko mały procent spośród absolwentów znajdzie jakieś szanse w zawodzie. Większość z nich ma jednak mocną wiarę w siebie i gotowość, by walczyć. Po cichu, zawstydzona powiem, że miałam szczęście, iż przyszło mi dorastać w minionej epoce, bo teraz nie spotkałoby mnie nic wesołego.

– Czy nie miewała pani myśli, że jest nieco wewnętrznie niedopasowana do charakteru tego zawodu?

– Ależ ja mam idealne predyspozycje do aktorstwa. Uwielbiam być w centrum zainteresowania, szokować, wzruszać i bawić ludzi lecz w miejscach do tego przeznaczonych. Pewien paradoks polega na tym, że zostałam aktorką z... powodu nieśmiałości utrudniającej kontakty z ludźmi. Aktorstwo dla osób takich jak ja bywa azyłem, pozwala na bezpieczne uwalnianie się od kompleksów, za maskami postaci. To właśnie zadecydowało, a nie przekonanie, iż mam tak wiele do powiedzenia, że powinienem się tym z ludźmi dzielić. A teraz, mimo wielu lat w zawodzie, ciągle odczuwam ogromną frajdę grania. Czasem z powodu zmęczenia wybieram się do teatru z ogromnymi oporami marząc, że... może nikt nie przyjdzie albo zdarzy się awaria elektryczna na pół Warszawy, ale gdy kurtyna pójdzie w górę, gotowa jestem grać dla jednego człowieka na widowni i czuję jego emocje. Czy zdrowy, normalny człowiek mógłby dostać takiego napędu tylko dlatego, że zapaliło się świa-

kałam jasnych stwierdzeń. To genetyczne dziedzictwo.

– Jaki ma pani stosunek do popełnionych błędów? Mimo starannego wybierania propozycji, jest ich trochę.

– Tak, miałam swoją porcję wstydu. Parę razy klasnęłam tylną częścią ciała. Kiedyś nie potrafiłam się godzić z porażkami, uważałam, że np. "Pani Bovary to ja", lub belgijsko-holenderskie "Wyjście nr 7" to niezmywalne hańby. Najgorszy był ten moment w czasie realizacji, gdy odsłaniała się naga prawda, a zabę trzeba było jeść do końca. Z czasem nabrałam odporności, a życie nauczyło mnie, że skoro świat zachowuje spokój wobec moich porażek, to i ja powinnam.

– Reżyserzy chyba nigdy nie mieli z panią łatwo. Podejrzewam w pani tęsknotę do samodzielności, czego ani teatr, ani film nie zapewnia.

– Ja zawsze lubiłam zespołowy układ z reżyserem przywódcą na czele. Dobrze się czuję, gdy mogę się na kims oprzeć. Łatwo podporządkowuję się liderowi, jeśli potrafi wzbudzić zaufanie. To dobry, "niewolniczy" układ. On nie oznacza, oczywiście, bierności i ślepego posłuszeństwa, lecz zakłada przynajmniej, że właściwi ludzie są na właściwych miejscach. A dobry przywódca stara się czerpać możliwie najpełniej z możliwości i pomysłów aktora. Fatalnie czuję się w sytuacji, kiedy trzeba przejąć ster z rąk pseudolidera. Ale kilku wspaniałych przywódców w życiu spotkałam. W teatrze taką najważniejszą postacią jest Jerzy Jarocki. W kinie – Kuba Morgenstern, który zrobił ze mnie aktorkę filmową, i Kazimierz Kutz, dzięki któremu w filmie "Wkrótce nadejdą bracia" zламаłam schemat "wrażliwej współczesnej dziewczyny".

– Kiedyś, po debiucie w "Trzeba zabić tę miłość" Morgensterna, była pani pewnie w euforii, czując o sobie, że jest wyrazicielką niepokojów ówczesnych dziewcząt, aktorką, która zburzyła stereotyp grzecznej, nija-kiej paniienki.

wawczych wobec mnie nie stosowano. Nauczyłam się tam rzeczy podstawowych. Dowiedziałam się, że w teatrze najważniejsza jest publiczność, a nie aktor, zapatrzony w siebie i czekający na podziw. I, że nie chodzi o to, bym z wrażliwości i przejęcia zniosła na scenie jajo, lecz by widz wzruszył się choć trochę lub zamyślił. A mój własny instykt podpowiedział mi, że warto umieć odmawiać mimo pokus. Dostałam kiedyś propozycję zagrania szekspirowskiej Julii. Wspaniale, wszystkie studentki marzą o tej roli, będzie wspaniała wizytówka. Ale miałam już wówczas 24 lata i po obejrzeniu filmu Zeffirellego zrozumiałam, że taka "starucha" jak ja nie powinna broń Boże zagrać Julii. Później zdarzały się podobne sytuacje. Jeśli są jakieś istotne przeszkody, albo nie ma wyraźnego powodu, by zagrać rolę, trzeba powiedzieć: sorry, Winnetou. I wszyscy wychodzimy na tym dobrze.

– Przetrwiała pani chyba bez głębokich wstrząsów okres pustki?

– Gdyby nie życie rodzinne, które dla mnie było i jest najważniejsze, mogłabym się znaleźć w tarapatkach. Ale nie miałam nigdy dylematu: rodzina czy kariera. Od młodości marzyłam o wielkim domu i dwunastce dzieci. Musiałam zadowolnić się trójką.

– Jak dziś określa pani swoją sytuację zawodową?

– Czuję się dobrze, bo pozbyłam się złudzeń.

– Złudzenia w ogóle do pani nie pasują.

– Bardzo długo żyłam różnymi iluzjami na temat tego, co mogę osiągnąć i stosunkowo niedawno rozstałam się z nimi.

– Teraz jako aktorka bez złudzeń i związanych z nimi obciążeń, dostała pani nagrodę w Gdyni. Może to dobry znak.

– Uchylę się przed zaprzeczeniem lub potwierdzeniem.

Rozmawiał
KRZYSZTOF DEMIDOWICZ